

# WAWERLEJ

opowiadanie historyczne

WEDZUG

WALTER-SKOTTA.

Ciąg dalszy.

Nie więc nie odrzekłszy Donaldowi na jego wymówkę, nie śmiejąc nawet badać w jakim celu była zrobiona, rozstał się z gospodarzem oświadczając, iż czując się bardzo znużonym potrzebuje spoczynku. Zaprowadzono go zaraz do zakątku grotty w którym stało łożo wysłane zakwitłym wrzosem. Okrywszy się pledem, położył się na nim i przez niejaki czas uważał pilnie wszystkie poruszenia mieszkańców grotty.

Górale po dwóch po trzech przychodzili i wychodzili bez żadnego porządku, szepejąc do ucha Donaldowi gaelickie słowa; gdy usnął Donald zdawano sprawę wysmukłemu zastępującemu go góralowi. Wchodzący do jaskini musieli wracać z jakiejś wyprawy, albowiem przynosili zdobycz, a następnie wszedłszy do spiżarni, każdy częścią przypadającą nożem odcinał dla siebie, piekł na ogniu i checiwie zjadał.

Pomału te ruchome grupy w oczach usypiającego Edwarda zaczęły się mienić i rozplwać. Naza-jutrz gdy się obudził słońce już wysoko świeciło nad jeziorem; przetarł oczy i z zadziwieniem spostrzegł że w jaskini nie było ani jednego człowieka. Wstał, poprawił ubranie, obejrzał się w około, wszędzie atoli głucho panowało milczenie. Podeszedłszy ku otworowi jaskini, przekonał się Wawerlej, że na odłam skały na którym przeszłej nocy rozłożono ogień, dostać się można było wąską ścieżką wykutą w opoce. Wdarłszy się po niej i następnie z trudnością spuściwszy się na dół po drugiej stronie, stanął na brzegu jeziora wśród wysokich gór zarosłych wrzosem, na których wierzchołkach ranna się mgłą rozpościerała. Przypatrując się pięknemu widokowi, ujrzał w pewnej odległości dwóch górali, z których jeden zdawał się być Ewanem a drugi przewodnikiem z siekierą, zajętych łowieniem ryb w jeziorze. Od strony otworu jaskini zabrzmiał dźwięk gaelickiej piosnki, Edward poszedł za tym głosem i pod rozłożystymi gałęziami brzozy, postrzegł dziewczynę zajętą przyrządzaniem śniadania. Była to Aliksya córka Donalda, ubrana w krótki szary gorset, również krótką spódnicę a kawał w różne wzory wyrabianego płócianka, osłaniał część jej włosów, które długimi, ciemnymi splotami na ramiona spadały. Zobaczywszy idącego ku sobie Wawerleja, kształtna, zręczna i wysmukła, młoda góralka uśmiechając się i pokazując rząd białych jak śnieg zębów, podeszła ku młodzieńcowi i zaprosiła na placki i jagody w pobliskiej zbierane trzęsawicy. Edward zabrał się chętnie do śniadania; w kilka minut później nadeszli oba górale, jeden niósł wielkiego łososia. Ewan za pomocą hubki zatłonej na panewce od pi-

stoletu, rozdmuchał ogień z suchych gałęzi, które w kilka minut na węgle zmienione, do upieczenia łososia posłużyły.

Po posiłku Ewan przygotowawszy łódź, wezwał Wawerleja aby w nią wstąpił. Silny góral odepehnał ją od lądu i korzystając z wiatru, rozpostarł żagiel a Ewan wziął się do rudła i nadał łodzi przeciwny kierunek tej stronie z której wczoraj przybyli. Na brzegu widać było Aliksyą jak przeskakując po urwiskach gór śpiewała biegnąc szybko w zarośla. Ujrawszy płynących łodzią skinięta ręką na znak pożegnania, krzyknęła kilka razy dla zwrócenia na siebie uwagi, potem poruszyła w powietrzu zdjętą z głowy chustką, przypatrzyła się i zniknęła w gąszczu leśnego porostu.

— Roztropna to bardzo dziewczyna, odezwał się Ewan, a przytem i pracowita....

— Żałuję jej mocno, przerwał Wawerlej, być córką pospolitego złodzieja.....

— Co też mówicie, żywo odparł Ewan. Donald przez całe swoje życie nic nie ukradł nikomu. Jeżeli napada na niziny to temu nie winien, dla czego...

— Mniejsza o to Ewanie, przerwał Wawerlej. Nasze obyczaje i pojęcia są różne, powiedzcie mi więc co on zrobił z krowami barona?

— Ho! ho! już wasz strzelec z Allanem dawno je popędzili do Bradwardine, odrzekł Ewan; dwóch sztuk tylko brakuje ale te zostały zarzniete.

— Gdzież więc teraz idziemy Ewanie?

— Do dworu naszego naczelnika w Glennaquoich, boć sądzę, że nasz Wich-Jan-Wohr, godzien jest tego aby go bliżej poznać i złożyć mu przynależne uszanowanie.

W pół godziny łódź z płynącymi dopłynęła do północnego brzegu jeziora; górale wynieśli Edwarda na ląd a krypę ukryli w sitowiu i trzcinie. Niejaki czas podróży szli piękną doliną pomiędzy dwoma rzędami wysokich gór; środkiem płynął mały strumyk ku jeziorowi.

— Piękna dolina, odezwał się Wawerlej, dla czego Donald nie obrał przy niej dla siebie mieszkania, tylko w jaskini?...

— Ma on rozmaite, przerwał Ewan, i mogę wam zaręczyć, że nie ma w całym kraju ani jednego ciemnego lochu, jaskini lub kryjówki podziemnej, żeby jej nie znał na wylot. Przyjaciół mu wprawdzie nie brakuje, ale ma i nieprzyjaciół.

— Wasz pan Wich-Jan-Wohr.....

— Mylicie się, przerwał prostując się Ewan, moim panem jest jedyny pan na niebiosach, a Wich-Jan-Wohr jest tylko głową naszego rodu. Donalda zna ale nie udziela mu swojej opieki, nie wzbrania mu tylko drzewa i wody.

— Nie rozumiem was, las jest wszystkich a wody nikt wzbronić nie może.

— Och! nie o to idzie, pod drzewem i wodą rozumiemy morze i niziny, i tam może robić co mu się podoba.

— A gdyby wojsko przeciw niemu wyruszyło, czyby Wich-Jan-Wohr stanął w jego obronie?

— Nie, nawet na ten cel nie poświęciłby jednego naboju.

— Cóżby więc Donald zrobił w takim razie?

— Musiałby szukać schronienia za górami.

— A gdyby go i tam ścigano?  
— Toby uciekł do Rannock do krewnych.  
— A gdyby i tam poszła za nim pogoń?  
— To nieby nie zrobiła. Żaden mieszkaniec nizin z całej Szkocji, nie odważy się pomknąć na odległość jednego strzału po za wąwóz Bally-Brough, jeżeli nie będzie miał z sobą czarnych żołnierzy.

— Cóż to za jedni ci czarni żołnierze.  
— Jest to rota ochotników utrzymywana w górach dla zachowania porządku i spokojności. Jedną taką rotą w której byłem sierżantem przez lat pięć, dowodził Wich-Jan-Wohr, dla tego zaś nazywają się czarnymi żołnierzami, że mają tartany czarne.

— Więc byłeś Ewanie żołnierzem króla?  
— Tak jest byłem, ale nim nie jestem, bo już od roku nam nie płacą.

W tej chwili usłyszano wystrzał ze strzelby, nie długo potem z doliny wyszedł strzelec z psami i ze służącym.

— Czy to Wich-Jan-Wohr?—zapytał Wawerlej.

— Tak jest, to głowa naszego rodu.

Gdy się zbliżono ku sobie, Wawerlej zdziwił się dostojną i szykowną postacią Fergususa. Udatny jego kształt, więcej niż mierny wzrost, strój narodowy mile w oko wpadały. Spodnie miał z tartanu w czerwone i białe paski, zresztą tak był ubrany jak Ewan, z tą tylko różnicą, iż żadnej innej nie miał broni prócz sztyletu bogato w srebro oprawnego. Paź Fergususa zwany Kalum - Bag niósł pałasz i strzelbę myśliwską. Wojskowa czapeczka z piórem orlim, poważnym wdziękiem krasila mężkie jego oblicze, ale więcej zdobiły je gęste, czarne pukle włosów. Brwi i wierzchnia warga znamionowały człowieka nawykłego do rozkazywania. Nawet w uprzedzającej jego grzeczności, aczkolwiek szczerzej, otwartej i niewymuszonej, przebijało się wysokie o samym sobie mniemanie. Za najmniejszym powodem nagle zachmurzało się jego jasne oko, zdradzając popędliwość i dumę. Krótko mówiąc, Fergus był podobny do jasnej pogody, gdy niepozorne różnego znaki obudzają obawę grzmotów i błyskawic przy zachodzie słońca.

Zbliżywszy się do Edwarda, przyjął go jako przyjaciela Barona Bradwardine uprzejmie, oświadczając radość z jego przybycia. Uczynił mu przytem delikatną wymówkę, że w tak niewygodnem nocował mieszkaniu a nie udał się wprost do niego, żadnej jednak wzmianki nie zrobił o powodach przybycia, Wawerlej równa powodowany delikatnością, unikał dotknięcia przedmiotu, jak się domyślał niemiłego dla Fergususa.

Aby dalsze wypadki jakie mamy opowiedzieć, dobrze były zrozumiałe, musimy się cokolwiek zapoznać z przeszłością Fergususa Mak-Iwor.

Na trzysta lat przed naszą opowieścią, jeden z przodków Fergususa, zmuszony opuścić klan którego był członkiem, przeniósł się w południowe okolice. Tam służąc rządowi z wielką gorliwością, towarzyszył królowi w wyprawach do Anglii, i tak umiał poświęceniem zaskarbić sobie względy monarchy, że zebrawszy znaczne mienie, wybudował zamek czy twierdzę z kamieni, która wielki obudzając podziw w mieszkańcach, nadała mu nazwę Jana z twierdzy. Pamięć tego męża była w wielkiem poszanowaniu u potomków, tak dalece, iż każdy późniejszy naczelnik klanu przybierał ojcowski tytuł Wich-Jan-Wohra, to jest syna wielkiego Jana,

a klan zwał się plemieniem Iwora, dla odróżnienia od klanu od którego się niegdyś odłączyli.

Ojciec Fergususa, dziesiąty w prostej linii potomek wielkiego Jana, rzucił się w odmęt zaburzeń w roku 1715, a gdy wszelkie usiłowania dla utrzymania Stuartów na tronie spełzły na niczem, uciekł do Francji, tam przyjęty został do wojska, ożenił się ze znakomitą damą i doczekał się dwojga dzieci: Fergususa którego poznaliśmy, i Florę jego siostrę z którą później bliżej się zapoznamy. Fergus wróciwszy z Francji do rodzinnego gniazda i mienia rodzicielskiego, dał w krótkce poznać mieszkańcom swój dzielny, przenikliwy i żądny sławy charakter. Ukształcony starał się zaraz po objęciu władzy nad klanem, uspakajaniem nieporozumień, sprawiedliwością i wielką hojnością przyćmić wszystkich przełożonych nad innymi klanami. W tym samym celu osadził swoją ziemię mnóstwem bitnych i walecznych wazalów; nadto utrzymywał kilku awanturników pokrewnych swojej Matki Francuzki, którzy porzucił własną ojczyznę aby w jego służbie pozostać, gdyż tylko klan chciał to spełnić, znajdował u niego zawsze gościnnie przytułek.

Jako dowódzca kompanji czarnych żołnierzy, utrzymywał wszystkich w należytej karności i porządku, postępował z podwładnymi surowo lecz z pomiarkowaniem, skutkiem czego w części kraju podległej jego władzy nie spokojności ogólnej nie zakłócało.

Sprawując to zwierzchnictwo dość samowolnie, każdego rabusia który na wezwanie jego rzecz zabraną zwrócił, uwalniał niemal od kary, co nawet rzucało podejrzenie, że ma go w swojej opiece;— upartych zaś i nieposłusznych rabusiów ścigał z całą surowością i oddawał w ręce sprawiedliwości. Jeżeli jednak z nizin przysłało wojsko bez zniesienia się z nim, dla uchwycenia jakich winowajców, można było być pewnym iż takowe poniesie dotkliwą klęskę, lub zupełnie zostanie zniszczonem, gdyż Fergus tak wszystkim zręcznie kierował, że następstwo to było nieuniknionem. W podobnie niezczęśliwych wypadkach, pierwszy Fergus litował się poniesionej przez oddział klęski, narzekając na rozprężenie w kraju porządku, ale mimo tego każdy się domyślał że to jego ręka wszystkim kierowała, aby nie dopuścić wtrącania się tych, co do jego władzy nie należeli. Skutkiem tego rząd odjął dowództwo Fergusowi nad kompaniją czarnych żołnierzy, czem aczkolwiek głęboko dotknięty, umiał jednak z nieporównaną zręcznością ukryć żal i przytłumić niezadowolenie.

W krótkce z tego smutne na całe sąsiedztwo spłynęły następstwa. Donald i inni jemu podobni, którzy dotąd rabowali w dalszych okolicach, teraz obrali sobie ten okrąg za główne stanowisko napaści, roznosząc przestrach i łupiestwo bez żadnego oporu. To zmusiło niektórych do płacenia Fergusowi pewnej daniny bezpieczeństwa, co nie tylko uczyniło go ich obrońcą, ale podniosło w znaczeniu i ogólnej w kraju wziętości.

Starania przecież te o zyskanie przewagi, miały inne cele nie samo tylko zadowolenie dumy i miłości własnej. Z młodych lat przywiązany do rodziny Stuartów, stał statecznie w przekonaniu, iż takowa nie tylko w krótkim czasie tron odzyska, lecz i rozszerzy władzę tych wszystkich którzy się do jej powrotu przyczynią. Z tej przyczyny w dobrem zostawał porozumieniu z sąsiednimi baronami nizin sprzy-

ającymi także sprawie wygnańców. Jakoż pragnąc ciągle przyjaźni tę umacniać, korzystał z następczej sposobności kradzieży Donalda, aby powrotem zabranego bydła, zagodzić nieporozumienie z Baronem Bradwardine w wielkiem u sąsiadów zostającym poszanowaniu. Domyślali się nawet niektórzy, znając zręczność Fergus, iż Donald spełnił to z rozkazu samego Fergus, aby tym sposobem ułatwić mu drogę do zgody.

Tak przychylnego stronnika, wynagradzali Stuartowie nieograniczonem zaufaniem, zasiłkami pieniężnymi, krociami grzeczności i pargaminowanym patentem podpisanym ręką samego króla Jana, mianującym go hrabią w królestwie Szkocyi. Ośniony tym blaskiem przyszłej korony hrabiowskiej, zabrnął Fergus w związki piśmienne i potajemnie w owym czasie knowane, gotowy zawsze do wystąpienia w sprawie Stuartów gdy rzeczy do tego dostatecznie zostaną przygotowane. Wawerlej jednak poznawszy się z Fergussem, nie znał go tak jak tu szczegółowo opisaliśmy: — wiedział że jest stronnikiem Stuartów, ale czy knuje co na ich korzyść, o tem ani myślał i niedomyślał się zupełnie.

Rozmawiając Fergus ze swym gościem, przybyli wreszcie do dworu naczelnika. Była to wieża czworokątna dawna jeszcze siedziba Jana na zamku: Do jednego jej boku przystawał gmach dwupiętrowy, bez żadnych ozdób i upiększeń; dwa parkany otaczały całe zabudowanie, które wraz kamiennym wałem stanowiły jedyne ogrodzenie tej Fergusu siedziby. Za niemi ciągnęły się łąny po obu stronach rzeki chudym zasiane jęczmieniem; za doliną był gaik brzoźowy a za nim góry wysokie wrzosem zarosłe. Widok całej okolicy był więcej dziki i samotny jak wspaniały.

Zbliżając się ku bramie Wawerlej ujrzał oddział ze stu górali zbrojnych złożony, co mu sprawiło nader miłą niespodziankę.

— Zapomniałem cię uprzedzić kapitanie, odezwał się Fergus jakby od niechcienia, że z mojego rozkazu zebrawi się niektórzy plemiennicy klanu. Chciałem się przekonać, czy są gotowi w każdej chwili do wystąpienia i skarcenia nadużyć jakich z wielkim żalem dopuszczono się względem Barona Bradwardine. Może zechcesz być kapitanie świadkiem ćwiczeń wojskowych.

Wawerlej chętnie przystał na to, a żołnierze zręcznie wykonawszy niektóre zwyczajne obroty, rozbiegli się potem chcąc dać dowód wprawy w strzelaniu do celu z pistoletów i karabinków. Strzelali stojąc, siedząc, przychyleni i leżąc na ziemi i zawsze trafiali w cel namalowany na tarczy. Potem popisywali się w sztuce szermiarskiej, nakoniec podzieliwszy się na dwa oddziały, zaczęli się z sobą potykać, naśladując pochód, zaczepkę, ustępowanie, ściąganie a wszystko to na głos donośnej piszczałki. Za danym znakiem, żołnierze zaczęli próbować sił swoich w bieganii, skakaniu, rzucaniu włóczni i t. p. w czem wszystkim dawali dowody nieporównanej siły i zwinności.

Patrząc na to, Wawerlej doznał niemałego wrażenia, co właśnie skrytym było celem Fergusu pragnącego dać mu poznać całą swoją potęgę.

— Dzielna młodzież, odezwał się Wawerlej, gdy oddział ustawił broń na odpoczynek. Ileż możecie mieć ich pod swoim dowództwem?

— Najmniej pięciuset, odrzekł Fergus niedbale.

— Ale to siła zdaje mi się aż nadto dostateczna do poskromienia takich złoczyńców jak Donald.

— Zapewne, odrzekł Fergus, ale gdybyśmy go zupełnie uskromili nakazanoby nam wydanie i reszty broni którą jeszcze posiadamy. Wolę więc Donalda jak ręce prostym zaopatrzone kijem. Otóż słyszę głos piszczałki głoszący że obiad już nas czeka, racz więc kapitanie ubogie moje mieszkanie zaszczyścić swoją obecnością.

Przed wejściem do jadalni, poddać się musiał Wawerlej patryarchalnemu obyczajowi umycia nóg, co w dniu parnym bardzo było dogodnym dla wędrowca, przebywającego nie jedno bagno i brodzącego po moczarach. Sala biesiadna zajmowała całe pierwsze piętro; niezmiernej wielkości stał dębowy stół na środku, nakrycie na nim było czyste ale proste, a towarzystwo liczne za wielkie niemal w stosunku do objętości stołu. Celne miejsce zajął Wawerlej z Fergussem i trzej naczelnicy sąsiednich klanów, potem szli dzierzawcy, dalej ich synowie, pokrewni, bracia mleczni, dworzanie a na samym końcu osadnicy którzy własną ręką ziemię uprawiali. Prócz tych widział Wawerlej przez podwoje wychodzące na dziedziniec, tłum górali późniejszego rzędu, dalej gromadki kobiet, żebraków, chłopców i dziewcząt, wielkich brytanów i psów myśliwskich, co wszystko bez żadnego wyjątku do wspólnej uczyty należało.

Ta jednak hojność miarkowaną była względami oszczędności. Kilka dań z ryb i zwierzyny, zastawiono przed cudzoziemcem jak wówczas Anglików w Szkocyi nazywano; dalej szły ogromne baranie i wołowe pieczenie, z wyłączeniem wieprzowiny której Szkoci nie jadali, ozdobą zaś całego stołu, był na środku stojący upieczony roczny baran, z wiązką pietruszki w pysku.

Mężowie klanu ochotnie wzięli się do barana, okrawając go na wszystkie strony to sztyletem to nożem, które zwykle w jednej mieściły się pochwie; w końcu zaś stołu dla mniej już znakomitych gości, znajdował się chleb, sery, cebula i mięsivo późniejsze, nęcące jednak synów Iwora którzy pod odkrytem bankietowali niebem. Podobnie także częstowano trunkiem: piwo wyborne i szampan dostawał się gościom najbliższym siedzących naczelnika: rozcieńczona zaś wódka i tegie piwo pili goście z szarego końca. Ta jednak nierówność nikogo nie obrażała.

Podczas uczyty chrapliwa brzmiała muzyka, której echo zmieszane z twardą mową celtycką, tak głośzący gwar sprawiło, że Wawerlej był jak odrzony. Fergus przeproszał za zgiełk tak różnorodny, tłumacząc się, iż obowiązkiem pierwszym naczelnika, jest przyjmować w ten sposób swoich gości.

— Ci dzielni plemiennicy mego rodu, rzekł, są przekonani, że co moje to i do nich należy: — muszę ich przeto karmić, a oni się tylko biją, drapią po górach, strzelają, łapią ryby, polują, piją i tańczą w dolinach. Lecz cóż począć kapitanie Wawerleju, każdy żyje jak może a góral jak sokół.

— Szczęśliwy, odrzekł Wawerlej z grzecznością, kto rządzi tak dzielnymi i przywiązanymi do siebie zuchami.

— Zapewne kapitanie, odrzekł Fergus, bo gdybym za przykładem moich Ojców chciał szukać szczęścia z orężem w rękę, pewny jestem żeby mnie

nie odstąpili. Ale ktoby tam myślał teraz o podobnych rzeczach.

To rzekłszy podniósł kubek w górę, i zwracając się do towarzystwa, rzekł:

— Bracia! piję za zdrowie kapitana Wawerleja i za naszego przyjaciela Barona Bradwardine.

— Niech żyje! zawołano chórem, ale jeden ze starszych gdy się ucieszono, rzekł powolnie:

— Tego toastu nie spełnię. Bradwardine to człowiek fałszywy i nosi płaszcz na dwóch ramionach.

— Czyż nie walczył wspólnie z nami w sprawie króla Karola Stuarta? — zapytał jeden z biesiadników.

— Tak, to prawda że walczył, a i cóż wywalczył dla niego? Czyż Stuartowie nam panują?

— To nie jego wina, że tronu zostali pozbawieni.

— Ale jego wina gdy zabił mi syna na podwórzu swego zamku.

— W obronie własnej, śmierć zadana nie jest zbrodnią.

— Bellenie! odezwał się Fergus, kapitan jest naszym gościem, i z Baronem Bradwardine nie jest pokrewiony. Pij więc jego zdrowie bo tak sama gościnność nakazuje.

— Niech więc żyje gość nasz cudzoziemski, odezwał się Starzec powstając z kubkiem w górę wzniesionym: i niech pamięta że Szkot nie zapomina nigdy krzywdy sobie wyrządzonej.

Fergus dał znak żeby muzyka ucichła i potem odezwał się:

— Gdzie jest nasz bard nadworny, że piosnkami swemi nie umiła nam zabawy?

Bard człek już podeszły, posłuszny wezwaniu, począł natychmiast śpiewać głosem wolnym i cichym, potem coraz prędzszym i silniejszym, mnóstwo wierszy celtyckich, słuchanych przez biesiadników z natężoną uwagą i zapałem. Z początku miał oczy ku ziemi obrócone, później podniósł je, obejrzał się w około jakby czegoś szukał, a Edwardowi wydawało się niekiedy, jakoby w pieśni barda słyszał skargi i żale za umarłymi, przemowy do nieprzytomnych, nareszcie jakieś prośby i upominanie obecnych. Zdawało mu się nawet, że usłyszał wymówione swoje własne nazwisko, tym bardziej że raz wszystkie oczy słuchaczy ku niemu się zwróciły. Dzikie ich i ogorzałe twarze przybierały ognistsze wejrzenie; wszyscy ku śpiewakowi nachyleni przysuwali się ku niemu, niektórzy poskoczywszy naprzód wywijali ręką na znak uniesienia, a inni chwytali za rękojeść swych orężów. Gdy ucichł śpiew głębokie nastąpiło milczenie.

Fergus patrzył pilnie po biesiadnikach, jakby badał wzniecone w nich uczucia, potem napełniwszy winem srebrny kubek, rzekł do jednego z dworskiej służby:

— Podaj to bardowi naszemu, a gdy wypije, powiedz mu w imieniu Wich-Jan-Wohra, aby kubek ten zatrzymał dla siebie.

Bard wypił wino, pocałował kubek i ukrył go w pledzie spiętym na piersiach. Począł potem na nowo śpiewać, i zdawało się Edwardowi, że to była improwizacya na cześć naczelnika. Podobała się i ona, ale nie uczyniła równie silnego wrażenia jak poprzednia. Pragnąc bliżej poznać jej znaczenie, Wawerlej zwrócił się do Fergususa prosząc, aby mu dał odpowiednie objaśnienie.

— Lepiej to ode mnie dopełni siostra moja Flora, odrzekł Fergus, jeżeli więc raczysz kapitanie, to proszę cię do niej na herbatę. Wawerlej chętnie się na to zgodził, a kiedy wychodził z Fergussem, usłyszał powtórne wiwały za zdrowie jego wzniesione i okrzyki wesołe wyrażające radość, zadowolenie i szczerze przywiązanie gości do gospodarza.

Bawialny pokój Flory Mak-Iwor nie był wytwornie urządzonej, gdyż w całym zamku pod tym względem panowała wielka oszczędność a dbano tylko o przysparzanie gościnnem przyjęciem jak najwięcej liczby plemienników, przyjaciół i życzliwych stronników. Żadnego jednak śladu tej oszczędności nie znać było w bogatym stroju samej Flory, która modę paryżką ze szkockim strojem umiejętnie połączyć umiała. Włosy jej utrefione spływały na ramiona po obu stronach; u góry tylko spinał ich sploty pierścien bogatemi wysadzany dyamentami.

Nadzwyczaj podobna do brata Fergususa, miała wzrost wysoki, oczy czarne, delikatną skórę i wdzięk w twarzy pełen łagodności. Oboje mieli jednaki głos tylko odmienny co do mocy i gdy Fergus brzmiał jak dźwięk dzwonu srebrnego, Flory był miłszy i łagodniejszy. Wzrok Fergususa pełen blasku, był także podobnym do spojrzenia Flory, ale gdy oczy Fergususa zdawały się gonić za sławą i wywyższeniem nad innymi, Flora zdawała się litować nad tymi, którzy tego nie pragnęli. W uczuciach także swoich byli do siebie zarówno podobni: wychowani w przywiązaniu do wygnanej rodziny Stuartów, żyli ciągle nadzieją choćby z największym swem niebezpieczeństwem, przywrócenia na tron wygnanego. Ale gdy pragnienie to w sercu Flory, było nie zamęczone żadnymi widokami osobistymi, Fergus z natury podniosły i dumny miał i siebie na celu, tak dalece, że w chwili w której wiałby się do ościza, trudno byłoby rozstrzygnąć, czyli zamierzałby Stuarta królem obwołać, czyli też siebie podnieść do godności hrabiowskiej.

Po śmierci Rodziców, przez niejaki czas Fergus był pazurem w orszaku małżonki Stuarta, Flora zaś kosztem jej odebrawszy wychowanie w jednym z najznakomitszych klasztorów, następnie przez dwa lata przy niej samej zostawała, i z tej przyczyny oboje do zgonną wdzięczność ślubowali dobroczyncom swoim.

Flora z wysokim wykształceniem, szczerą w całym postępowaniu, zamieszkawszy samotne okolice rodzinnego zamku, nie mając sposobności do czytania dzieł francuzkich, angielskich i włoskich, głównie czas poświęcała muzyce i poetycznem podaniem Szkocyi. Fergus nie czując poezyi ludu, chwalił ją jednak ale nie z przekonania tylko przez pochlebstwo dla tych któremi władał. W przywiązaniu do rodzinnego klanu różnili się także: miłość Flory dla niego była pełną szczerą zapału, przywiązanie Fergususa więcej z rachuby wynikało. Flora była pełną litości dla chorych i ubogich, Fergus głównie tylko rozkazującym zwierzchnikiem; to też brata szanowano, Florę kochano i gdy raz bard ułożył pieśń w której Florę wywyższył nad wszystkie kobiety, otrzymał w darze od plemienników tyle jęczmienia na nasienie, że mógłby dziesięć razy obsiać pole przez siebie posiadane.

d. c. n.